Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. Cena pojedyńczego numeru 30 gr.

PAX

O CHRZE-
ŚCIJAŃSKĄ
KULTURĘ
JUTRA —
DWU-
TYGODNIK

N 4 R 3

ROK III — NR 4
15 Lutego 1935 r.
WILNO-POZNAŃ



O chrześcijańską
kulturę jutra —
DWUTYGODNIK

HALINA WĘŻYK-WIDAWSKA.

Religja i kultura

Jakób Maritain jest tym, którego nie można pominąć, gdy się mówi o odrodzeniu współczesnej kultury. Jego niedużą lecz niezwykle esencjonalną książkę: RELIGION ET CULTURE, drukowaną jako I tom wydawnictwa QUESTIONS DISPUTÉES możnaby uważać za abecadło dla nas wszystkich, którzy w sprawach kultury chcemy głos zabierać.

Czy możliwa jest chrześcijańska kultura?

O tę zasadniczą kwestję rozbijają się stale wszystkie nasze rozważania nad zagadnieniami kultury. Jedni nietylko boją się splecenia losów religji z losami kultury, lecz wogóle poddają w wątpliwość możliwość pogodzenia ich celów rzekomo ze sobą sprzecznych. Dla innych jest jasne, że chrystjanizm jako pozytywny czynnik kulturalny może i musi formować swą własną kulturę.

Jak na tę sprawę patrzy Maritain?

Maritain twierdzi, że cywilizacja chrześcijańska, kultura katolicka (określenia własne uczonego) jest pojęciem zupełnie realnem. Wypływa to z pojęcia kultury będącej „dziełem ducha i wolnej woli człowieka, łączących swój wysiłek z wysiłkiem natury" (str. 12). Ideał więc kultury jest dla Maritain'a wyrazem wszechstronnego rozwoju człowieka — rozwoju naturalnego (właściwa podstawa rozwoju), rozumnego i moralnego. Ponieważ jednak rozwój moralny nie da się pomyśleć bez czynników religijnych i ponieważ prawdziwą religją możemy nazwać tylko religję nadprzyrodzoną, dlatego kultura winna być również owocem darów nadprzyrodzonych i sprawności intelektualnych i moralnych, wyrastających z miłości.

Takie piętno nadprzyrodzone zachowało dziś tylko chrześcijaństwo, które też jedyne może dzięki temu wprowadzić w życie człowieka i społeczeństw pierwiastki, pozwalające na pełny rozwój kulturalny. Inaczej: tylko kultury, wyrastające na gruncie chrześcijaństwa i stosujące w praktyce zasady kościoła, będą kulturami chrześcijańskiemi, mniej lub więcej zbliżonemi do ideału kultury.



avec toute mon affectueuse gratitude pour mes chers amis
Wilno, 3 Septembre 1934
Jacques Maritain

Humanizm teocentryczny.

Pojęcie kultury chrześcijańskiej jest oczywiście abstrakcją, każda bowiem kultura jest jedną z kultur, każda cywilizacja chrześcijańska jedną z cywilizacyj chrześcijańskich. Nawet bowiem cywilizacja chrześcijańska w swej istocie i dzięki przedmiotowi specjalnych dążeń sprzęgnięta jest z czasem, ze zmiennością czasu, przemija też istotnie po ludzku. Stąd forma z konieczności się zmienia i może występować w nieskończonej ilości odmian zależnie od warunków i potrzeb epoki.

Niezrozumienie tych rzeczy powoduje, że wielu ludzi zbyt pochopnie utożsamia kulturę katolicką z kulturą średniowiecza, która rzeczywiście była w pewnym sensie cywilizacją chrześcijańską. Jednakże chrześcijańskość jej nie polegała wcale na marzeniu „o świętem Cesarstwie", które tak, jak „wielka idea absolutnej jedności cywilizacyjnej, lub kulturalnej, czy doskonałego państwa jest, według Maritain'a, owocem znaturalizowania idei kościoła, królestwa Bożego, należącego do porządku nadprzyrodzonego a przełożonego świadomie przez racjonalizm Leibniza i mniej lub więcej świadomie przez współczesnych nam proroków i teoretyków socjalistycznych na język rodzaju ludzkiego" (str. 15). Chrześcijańską była kultura średniowiecza dlatego, że była to kultura teocentrycznego (t. j. uznającego Wcielenie) humanizmu — człowieka odkupionego, przebóstwionego i tylko dlatego posiadającego dane do pełnego rozwoju.

Teocentryczną będzie również nowa kultura chrześcijańska i dlatego uzna odrzucone dziś cele wieczne za cel najpierwszy w dążeniu jednostek czy społeczeństw. Cel najpierwszy, ale nie jedyny jak to widzimy w średniowieczu, dla którego wszystkie cele doczesne, a więc i kulturalne były tylko środkiem osiągania wyżyn duchowych. Cele kulturalne, dążenia i zajęcia doczesne nie są zaś tylko środkiem, są celem, dążeniem godnem wysiłków człowieka (choć drugorzędnem i podporządkowanem temu, co ważniejsze). Ta humanistyczna postawa Maritain'a jest wiernym

oddźwiękiem doktryny św. Tomasza, którego filozofja stanie się według Maritain'a filozofją nowego chrześcijaństwa.

Naprawa stosunków społecznych.

Wyrazem tego humanizmu jest choćby cytowany przez Maritain'a pogląd św. Tomasza, który uważa, że człowiek powinien mieć pewien, minimalny przynajmniej, dobrobyt, żeby mógł życie ludzkie prowadzić. „Teorja ta podkreśla, że nędza, jak stwierdza Leon Blois i Peguy jest jakby piekłem społecznem. Warunki społeczne bowiem, nastręczające tyle okazyj do grzechu, wymagające specjalnego heroizmu ze strony tych, którzy chcą żyć według prawa Bożego, nie są warunkami normalnemi". Więcej, Maritain oskarża i czyni odpowiedzialnymi katolików, którzy zignorowali nawoływania ostatnich papieży, zwłaszcza Leona XIII, zaniedbali sprawę reform społecznych, niezdolni byli stworzyć coś tak decydującego jak „Kapitał" Marksa, opartego o prawdziwe zasady.

Cywilizacja chrześcijańska winna więc troszczyć się o rozwój naturalnych zdolności, „umożliwiających spełnienie nieprzemijających i najgłębszych powołań serca ludzkiego". Ale dlatego też, choć religja wspomaga naturę i rozum w dążeniu do ich celów, choć umożliwia im zdobycie dóbr dla jednostki i narodów, których same w oderwaniu od Boga, bez pomocy łaski nie zdobędą, choć wkłada w warsztat kultury ludzkiej takie siły jak orędownictwo i kontemplację świętych, choć wszystkie cnoty, a zwłaszcza sprawiedliwość i miłość stają się fundamentem życia społecznego, to jednak w ogólnej matematyce życia ludzkiego, cele doczesne, które zdobywa kultura, winny służyć celowi najwyższemu – kontemplacji.

Środki ubogie.

Kontemplacja dla Maritain'a to nietylko kontemplacja religijna, choć tę najwyżej stawia, a bodaj, że i jego własna praca naukowa wypływa ex superabundantia contemplationis. Chodzi mu o arystotelesowskie pojęcie kontemplacji prawdy, jako najwyższą funkcję człowieka: badanie, szukanie, wpatrywanie się w tajniki Życia. Wszystkie zajęcia, a więc najprostsze zajęcia codzienne, handel, polityka mają tylko o tyle sens, o ile służą kontemplacji. Maritain'owi chodzi tu nietylko o uznanie kontemplacji za najlepszą, najwyższą, najważniejszą funkcję społeczną, dzięki czemu życie społeczne zyska swą szlachetną nadbudowę, której tak brak dzisiaj w wieku uwielbienia dla ilościowego wyścigu pracy. Chodzi mu o uznanie przez społeczeństwo obok DOCZESNEGO ŚRODKA BOGATEGO — pieniądza, niezawodnie potrzebnego w niejednej akcji chrześcijańskiej, — doczesnych ŚRODKÓW UBOGICH, o których tak pięknie pisze w III-cim rozdziale swej pracy. Należy do nich modlitwa, ofiara, krzyż i wszelka praca twórcza, niematerjalne często i niedostrzegalne. „Kiedy Rembrandt malował, Mozart lub Satie komponowali swe utwory, kiedy św. Tomasz pisał swą Summę, a Dante—Boską Komedję, kiedy autor Naśladowania tworzył swą księgę, a św. Paweł pisał swe listy, kiedy Platon i Arystoteles prowadzili dysputy ze swymi uczniami, kiedy Homer śpiewał, a prorocy wieścili przyjście Mesjasza — wtedy posługiwali się oni doczesnemi środkami UBOGIEMI" (str. 76). Takiemiż ubogiemi środkami posługiwał się Chrystus, choć mógł przecież rozporządzać wszelkiemi środkami najbogatszemi, środkami wręcz amerykańskiemi—krzyż i ofiara okazały się środkiem najodpowiedniejszym dla świata, który zginął z przesytu.

Polityka i ekonomja.

Mówiąc o kontemplacji zwraca również Maritain uwagę na przerost aktywności w życiu jednostki, która jest dzisiaj niewolnikiem rozpędzonego trybu swych zajęć i nie ma czasu myśleć, zastanawiać się, szukać prawdy, nie ma dziś czasu mieć duszy, jak to ktoś niedawno dobrze powiedział. Zresztą słuszność wywodów Maritain'a potwierdza życie dzisiejsze, stojące pod znakiem humanizmu antropocentrycznego (szumanizm antropocentryczny = odrzucenie Chrystusa i nadprzyrodzonych sprawdzianów i jednoczesna apologja natury człowieka – skażonego—wyzwalanego z pod praw Bożych). Niestety kultura, która wyrzekła się Boga, stała się również nieludzką. Człowiek dzisiejszy stał się tylko jakimś homo oeconomicus w tym sensie, że jedynem jego zadaniem jest skupianie dóbr materjalnych. Doszło dziś do tego, że polityka i ekonomja mają dziś specjalne cele. „Nie są to cele ludzkie, ale materjalne w specjalnem tego słowa znaczeniu. Celem polityki jest bowiem dobrobyt, potęga, pomyślność materjalna państwa, dlatego z punktu widzenia politycznego wszystko, nawet obłuda i niesprawiedliwość, są dobre, jeżeli pozwalają ten cel osiągnąć. Ekonomja widzi swój cel w nieustannem zdobywaniu bogactw i rozkwicie jak największym dóbr materjalnych. To też PUNKT WIDZENIA EKONOMICZNY pozwala korzystać ze wszystkich środków do tego celu prowadzących, choćby to była niesprawiedliwość, przymus, czy inne środki nieludzkie. Sprawiedliwość, przyjaźń i inne wartości godne miana człowieka są obce i niepotrzebne sferze życia ekonomicznego. Gdyby moralność zechciała dyktować tu przepisy, stanęłaby w sprzeczności z interesami politycznemi i ekonomicznemi, z wytycznemi nauk politycznych i ekonomicznych" (str. 43).

Cóż dziwnego, że ile razy ludzkość schodziła na tak śliską drogę, przeżywała katastrofy takie lub podobne do tej, która wisi nad naszą głową. „Prawa polityczne i ekonomiczne... są to prawa działania ludzkiego podległe wartościom moralnym — sprawiedliwość, ludzkość, prawo miłości bliźniego stanowią istotną i realną część praktyki i ekonomji. Obłuda jest przestępstwem nietylko w sferze etyki indywidualnej, jest ZŁEM POLITYCZNEM, które zrujnuje kiedyś zdrowie społecznego organizmu. Ucisk biednych, bogactwo pojmowane jako jedyny cel życia są potępione przez etykę indywidualną, lecz są to również rzeczy ZŁE EKONOMICZNIE, sprzeczne z celem ekonomji, który jest celem prawdziwie ludzkim".

Świat dzisiejszy a prawdziwa kultura.

Dochodzimy więc do wniosku, że każda kultura chrześcijańska, jakkolwiek zawsze niedoskonała i nietrwała, w pewnym sensie zawsze jednostronna i odpowiednia tylko dla jakiejś epoki, jest rzeczą realną wtedy, gdy ją budować będzie chrześcijanin, żyjący życiem nadprzyrodzonem i korzystający z dobrodziejstw Kościoła. Jest ona nietylko możliwa lecz wolna od istotnych zboczeń, jedyna, która pozwoli ludzkości na pełny rozwój. Powstaje więc teraz pytanie, czy KULTURA TA MOŻE SIĘ ZREALIZOWAĆ W DZISIEJSZYM ŚWIECIE? Przedtem jednak Maritain rzuca pytanie inne:—czy ŚWIAT WSPÓŁCZESNY RZECZYWIŚCIE NIE MA NIC WSPÓLNEGO Z POJĘCIEM KULTURY CHRZEŚCIJAŃSKIEJ? Odpowiedź Maritain'a jest głęboko optymistyczna. Świat współczesny jest nam z gruntu obcy tam gdzie jest NIELUDZKI. Jest w nim jednak i pewne dobro. Nietylko dlatego, że księga historji jest napisana z woli i pozwolenia Boga. „Herezje, schizmy, wojny i zniszczenia, wreszcie sam Szatan znajduje się pod powszechną władzą Bożą i wbrew swej woli pracują dla tego wątku, który Bóg snuje" (str. 32). Jest jednak również w kulturze współczesnej dobro, będące wynikiem naturalnego prawa wzrostu i działania zaczynu ewangelicznego, złożonego w ludzkości. Jest to postęp, który można nazwać MATERJALNYM w najszerszem znaczeniu filozoficznem. „Wzrost, nie powiem, poziomu życia moralnego czy ideału moralnego, lecz poziomu pojęć i nauki, które stanowią warunek statyczny życia moralnego" (str. 32).

Więcej: człowiek właśnie wbrew swej woli uległ powszechnemu prawu ciążenia ducha ludzkiego i odszedłszy od Boga, wszedł w „wiek INTROSPEKCJI, przynosi obok siebie, obok zacieśnienia i strat, zawartych w tem słowie, niezaprzeczalne wzbogacenie w poznaniu stworzenia i rzeczy udzkich, co należy uznać za zysk, jakkolwiek poznanie to musiało odsłonić piekło człowieka, który się stał pastwą samego siebie" (str. 31). Mroczna to droga, do Boga jednak doprowadzić może.

Maritain idzie dalej, uważa, że kryzys duchowy, który przeżywamy i upadek form doczesnych, jakkolwiek b. groźny — przynosi wyzwolenie ze „straszliwego brzemienia nadużyć i sprzeniewierzeń", któremi był obciążony świat stary, niegdyś chrześcijański.

To więc, co jest dzisiaj, może być punktem wyjścia do budowy kultury chrześcijańskiej, której idea, choć odrzucona przez świat, nie jest w nim unicestwiona i „zdaje się, że mogłaby właśnie dziś zapanować w kulturze".

Czy stanie się to jednak — trudno przewidzieć.

Zadanie katolików.

W każdym razie wszelkie opóźnienie ze strony katolików grozi katastrofą, KATOLICY TEŻ BĘDĄ ODPOWIEDZIALNI ZA TO, CO SIĘ STANIE. Ta misja wymaga od nich głębokiego zrozumienia swej roli. I jak ze wszystkiego sądzić można za najważniejszą rzecz uważa Maritain właściwe pojmowanie stosunku religji i kultury, sprawy, której poświęca właśnie swoją „Religję i Kulturę". Świat laicki grzeszy tem, że rozdziela zupełnie sferę religji i kultury, lub też żąda podporządkowania religji sprawom kultury (nacjonalizm in spiritualibus). Wierzący zato, a często właśnie najgorliwsi, gotowi są traktować sprawy katolicyzmu jakby był on państwem, cywilizacją ziemską (imperjalizm in spiritualibus), co również kończy się znaturalizowaniem religji, ściągnięciem jej z wyżyn. Ten błąd tak groźny dla psychologji chrześcijan ma właśnie przyczynę w niedostatecznem uświadomieniu celów i natury tych tak zgruntu odrębnych dziedzin: religji i kultury. Lecz nie o błąd chodzi tylko, który już nieraz zaważył na losach ludzkości. W budowie kultury chodzi o twórczy udział chrześcijan (!), którzy winni wiedzieć, że Kościół jako mistyczne ciało Chrystusa jest społeczeństwem nadprzyrodzonem i nie ma innego celu niż służba duszom. Że choć wsparty o organizację ziemską i korzystający z ludzkich środków inaczej niż cywilizacja ziemska rozumie swoje powodzenie, w innej też płaszczyźnie walczy, zwycięża, lub przegrywa. W płaszczyźnie tej więcej dla Kościoła znaczą zasługi męczenników i świętych, więc tych, którzy w grze biologicznej przegrali, niż powodzenie jakiegoś króla czy polityka chrześcijańskiego.

Odrębność kultury i religji.

Z drugiej jednak strony religja jest twórczym, życiodajnym czynnikiem w każdej kulturze.

„Prawdziwa religja jest nadprzyrodzona; zeszła z nieba z Tym, który stworzył Łaskę i Prawdę. Nie jest ani z człowieka, ani ze świata, ani z jakiejś cywilizacji, ani z jakiejś kultury ale z Boga. Przenika każdą cywilizację i kulturę. Jest nad wszelką cywilizacją i kulturą. Jest najwyższem dobrem dla cywilizacji i kultury, a mimo to jest od nich niezależna, wolna, powszechna, bezwzględnie powszechna, katolicka" (str. 25). Kościół rozumie swoje zwycięstwo, nietylko inaczej, lecz i szerzej niż ziemska cywilizacja. Wie on, że żadna z form doczesnych nie jest doskonała, z drugiej zaś strony przekonany jest, że wszystko dobre, co jest w tych kulturach, jest tylko pozornie poza katolicyzmem. — „Czyż wszystko ostatecznie nie jest nasze, czy nie należy do nas, KTÓRZY JESTEŚMY CHRYSTUSOWI?" (str. 65). Dlatego chce służyć każdej z nich, by odnalazły w sobie to, co mądre, prawdziwe i szlachetne, a łaska może zachować typ każdej z tych kultur, czy cywilizacyj, uszlachetniając go tylko i podnosząc.

Oto płaszczyzna widzenia katolików, którzy nie przestając być bojownikami o królestwo niebieskie, stają się, muszą się stać — są za to odpowiedzialni! — budownikami królestwa doczesnego, opartego o zasady chrześcijańskie. Nie jest to zadanie łatwe — rozgraniczyć te dwie dziedziny, a jednocześnie pamiętać o obowiązkach w stosunku do każdej z nich i o uzgodnieniu ich w swojem własnem życiu, „Umieć w każdej chwili nietylko myśleć o wieczności stojąc poza światem, co jest pierwszem przykazaniem myślenia kontemplacyjnego, lecz wypełnić również drugie przykazanie podobne do pierwszego — ocenić świat i chwilę obecną w perspektywie wieczności i przez wieczność" (str. 82). Do tego zadania intelektualnego Maritain przywiązuje wielką wagę. „Myśl katolicka musi być podniesiona z Jezusem między ziemią i niebem i w tem się zawiera bolesny paradoks, na który składa się absolutna wierność wieczności, która musi być zaiste połączona z dogłębnem zrozumieniem udręki doczesnej, co jest podstawą pracy nad pojednaniem świata z prawdą (str. 90).

Chrześcijańska kultura jutra.

Jak więc będzie wyglądała ta chrześcijańska kultura, dla której bodaj wybiła godzina?

Maritain nie chce bawić się w proroka.

— „Tajemnica w ręku Boga". Przypuszcza jednak, że nie będzie to jakaś jedna i jednolita cywilizacja, o jakiej marzyło średniowiecze. Będzie to raczej PRZENIKNIĘCIE RELIGJI CHRYSTUSOWEJ DO GŁĘBIN KULTURY I PODDANIE SIĘ RÓŻNYCH pod względem politycznym i kulturalnym narodów POD DUCHOWE KIEROWNICTWO KOŚCIOŁA. Maritain nietylko przypuszcza, ale wierzy, że może niedługo rozwinie się „prawdziwa Kultura chrześcijańska, rozprzestrzeniona po całej kuli ziemskiej dzięki sieci ognisk życia chrześcijańskiego, rozrzuconych między narodami i wiążących je w wielkiem zjednoczeniu ponadkulturalnem Kościoła". „Zamiast o feodalnym grodzie, znajdującym się pośrodku ziemi i władającym całym światem, pomyślmy o całej armji gwiazd rozsianych po niebie" (49). — Zaszczytna to misja, lecz obarczająca świat chrześcijański wielką odpowiedzialnością.



DRZEWORYT 1934 R. ADOLF POPŁAWSKI

CZESŁAW ZGORZELSKI

ROMANTYCZNA POWIEŚĆ JAROSŁAWA IWASZKIEWICZA.

W powieściowej literaturze polskiej kilku lat ostatnich coraz częściej pojawiają się utwory, których akcja osnuta jest na wypadkach minionej przeszłości. I kto wie, czy nie jest to wynikiem niechęci ku współczesnym warunkom bytu, kto wie, czy nie wypływa to ze zmęczenia, wywołanego niespokojnym, nerwowym rytmem dzisiejszego życia, z pragnienia ucieczki od ogłuszającego zgiełku i oszałamiającej jaskrawości reklamiarskich barw i świateł otaczającej nas rzeczywistości, z tęsknoty za odpoczynkiem zdala od wszystkich ekonomicznych i społeczno-ustrojowych zagadnień, dręczących jak zmora współczesne pokolenie. Zdaje się, że taka właśnie tęsknota za dobremi, cichemi dniami (bo takie jawią się dziś nam one) minionej przeszłości stało się jedną z wielu przyczyn powodzenia ostatniej, wielotomowej powieści Dąbrowskiej, i że taka to właśnie tęsknota nęciła Berenta ku zszarzałym już nieco postaciom historycznym z przełomu XVIII-go i XIX-go stulecia.

Nie możnaby tego jednak powiedzieć o świeżo wydanej powieści J. Iwaszkiewicza*), który spróbował trapiące nas dzisiaj zagadnienia przerzucić w odległe, zamierzchłe czasy polskiego średniowiecza, by w ten sposób, wskrzeszając zaklęciem dzisiejszych trosk społecznych—podobne, tragiczne konflikty, ukryte na sandomierskim dworze księcia Henryka, wykazać wieczną, niezmienną aktualność pewnych zagadnień, dręczących jednostki i społeczeństwo.

Ale obok tych problematów, przeniesionych w epokę średniowiecza z dzisiejszego życia i stanowiących raczej ideowe podłoże powieści Iwaszkiewicza — na artystycznej jej technice zaważyły przedewszystkiem tragedje literackie, zapożyczone z okresu romantyzmu. Bardzo być może, że stało się to wskutek wyboru tematu, ściśle połączonego z najbardziej chyba „romantyczną" epoką w historji, z okresem rycerskich wypraw krzyżowych na zdobycie Ziemi św. Wprowadzenie do powieści akcji, opartej na tle tych wypraw, oraz skomponowanie jej pierwszej części na motywie podróży polskiego księcia — „błędnego rycerza" owych czasów — poprzez dwory cesarskie i papieskie, aż ku miejscom Grobu Pańskiego i egzotycznym miastom Wschodu — z konieczności wprowadziło też do powieści szereg postaci i akcesorjów typowych dla utworów literatury romantycznej. Obrazy powieści roją się zatem i od rycerzy, zakutych w stalowe zbroje, lub otulonych w szerokie płaszcze zakonne —, i od balladowych giermków, śpiewających swym panom przy akompanjamencie violi czułe romanse, lub rycerskie opowieści; nie zbraknie tu ani dzikich zbójców — w kostjumie zupełnie jak u Mickiewicza: z długiemi brodami, nożami za pasem i buławami w ręku (por. str. 233), ani skruszonego Madeja, sypiającego za pokutę na kamiennem łożu w swej „jamie" pod Jeleniową Górą, a po drodze raz poraz napotkamy czyto tajemnicze ruiny starych budowli, czy też niedostępne mury skalistych zamków, ponuro lśniących w chłodnym blasku księżyca. Oto widok ze szczytu murów Gazy (str. 181): „Księżyc świecił jasno i oświecał obszerne ruiny greckie w dole; wydawały się one zbiorem białych ciał bez ruchu, kości zwietrzałych, ale jeszcze przeraźliwych. I nad ich upiorną bielą wznosił się czarny gmach fortecy templarjuszy...".

Księżyc zresztą — podobnie jak i w pejzażach romantycznych — odegrywa w powieści Iwaszkiewicza niezwykle ważną i znamienną rolę: usypia małego Bartłomieja na nędznem legowisku pod schodami u kanonika Ruperta, towarzyszy księciu Henrykowi i pięknej Richenzie w ich sentymentalnej przechadzce po ogrodzie na Bargu, wstydliwie ukrywa się za „parę jaśniejszych obłoków", gdy książę skrada się tajemnie ku oknom willi Wippona, aby „zobaczyć cudze szczęście" i nieraz zapewne przyświeca jego własnemu szczęściu podczas nocy, spędzanych z Judką pod namiotem „z paproci lub gwiazd".

Bo też o przyrodzie Iwaszkiewicz nie zapomina nigdy, każdą niemal scenę, każdy obraz w powieści ujmuje w ramy niezwykle sugestywnych, nastrojowych opisów natury — i pomimo iż prawie wszystkie zawierają typowo-romantyczne krajobrazy — czy to będzie obraz czarnej, spokojnej tafli jeziora wśród ośnieżonych grzbietów górskich na początku powieści, czy też końcowy opis „niebieskiej, wzdętej" Wisły w pierwszych dniach wiosny — zawsze będą to obrazy nowe i oryginalne, nęcące czytelnika przedziwnym urokiem poezji. I tylko w tem nieustannem towarzyszeniu zjawisk przyrody we wszystkich sprawach i poczynaniach postaci, występujących w „Czerwonych tarczach", możnaby poznać znaną już wpierw technikę autora „Brzeziny" i „Panien z Wilka". Łączy się to bowiem w pewnej mierze z pierwiastkiem sentymentalizmu, który subtelną, łagodną mgłą osnuwa nietylko oba tamte „pejzaże" — ale też i wiele kart „Czerwonych tarczy", te zwłaszcza, które poświęcone są miłosnym doznaniom sandomierskiego księcia. I w tem tkwi także jeszcze jedna — i bynajmniej nie ostatnia — cecha specyficznego romantyzmu powieści Iwaszkiewicza.

Rozpoczyna się od chłopięcej, napół uświadomionej i nigdy nie wyjawionej miłości ku bratowej, Rusince Wierzchosławie, której cień będzie towarzyszyć młodemu księciu w jego długiej podróży po świecie i tajemną, ponurą zadumę byronowskich bohaterów kłaść mu będzie na twarzy nawet w towarzystwie przepięknej Richenzy. Ale bo i ten drugi — jakże krótki! — romans młodego księcia z „Cesarzową Hiszpanji" niewiele wykracza poza ramy schadzki Filona i Laury w sielance Karpińskiego, ograniczając się do jedynego spaceru obojga w księżycową noc podczas wspólnej gościny w Bergu. I tylko wierny giermek Tali, śpiewając swą tęskną piosenkę, przywiedzie mu czasem przed oczy drobną postać Richenzy. Krótki epizod z królową Melisandą — coś jakby dzieje biblijnej Putyfary i cnotliwego Józefa — nie pozostawiły również głębszego śladu na duszy wiecznie zamyślonego księcia. I dopiero nieoczekiwana miłość do Judyty, prostej Żydówki z wędrownej budki żonglerów, zbudzi na krótko duszę Henryka. Ale i tym razem ujmuje ją autor w takie oto subtelne, sentymentalne obrazki: „...zaprowadził ją nad źródełko malutkie, całe otoczone paprociami; zanurzali w nie ręce, a potem pili tę wodę pokolei jak z czary miłości..." (str. 301).

Nigdy jednak i to najbardziej żywe uczucie księcia nie ogarnia go całkowicie, nie staje się dlań treścią życia, celem, któryby chciał osiągnąć za wszelką cenę. Stosunek Henryka do Judki jest raczej bierny i dlatego nie znajdzie on w sobie dostatecznej siły woli i uczucia, aby wystąpić w obronie ukochanej podczas sądu o dokonane przez nią świętokradztwo — podobnie jak zabraknie mu zdecydowania i opanowania się wewnętrznego w dokonaniu swych wielkich planów politycznych zjednoczenia dzielnicowej Polski pod własnem berłem królewskiem. Możnaby tu przeprowadzić porównanie ks. Henryka z Kordjanem Słowackiego. Obaj oni bowiem z jałowego stanu bezideowości rozpłomieniają się nagle żądzą wielkiego czynu dla ojczyzny i obaj w obliczu tego czynu załamują się wewnętrznie, gdyż brak im tej wewnętrznej harmonji i zdecydowania, tak niezbędnych dla utrzymania własnego ducha w żelaznych karbach nieugiętej woli.

To też i charakter tragizmu obu tych postaci jest niemal identyczny. Bo tragiczna jest postać wielkiego rycerza, księcia Henryka Sandomierskiego, daremnie zmagającego się z własną przeintelektualizowaną psychiką, urobioną mu przez autora na wzór nowoczesnych ludzi, tragiczna jest tembardziej, że tak ówczesny stan polityczny kraju, jak też i przedziwnie pomyślny zbieg okoliczności znakomicie ułatwiają mu przedsięwzięte zadanie i jedyną przeszkodą, stojącą na jego drodze jest własny brak zdecydowania i skrupuły moralne wobec braci i rodziny.

I z tą właśnie sprawą skrupułów moralnych księcia Henryka łączy się naczelne, nierozstrzygnięte ostatecznie — i jakże dziś aktualne — zagadnienie, streszczające się w zapytaniu: czy wolno popełnić zbrodnię w imię dobra ojczyzny, innemi słowy, czy usprawiedliwione są morderstwa, okaleczenia i krzywdy, zadane pojedyńczym ludziom w dążeniu do jakichś wyższych, doskonalszych form rządzenia państwem.

Książę Henryk po długiem wahaniu cofa się u progu takiej drogi, wiodącej go na tron jedynego monarchy zjednoczonej Polski poprzez krzywdę, a może i zbrodnię, dokonane na rodzonych braciach. I gdybyśmy przyjęli, iż stało się to z powodu zwycięstwa moralnych zasad księcia Henryka, wskutek siły wyrzutów sumienia, uosobionych w zjawie matki księcia, księżny Salomei — to bohater Iwaszkiewicza stałby się w oczach naszych postacią nieskończenie wyższą i doskonalszą niż Kordjan Słowackiego, postacią, której dnie klęski fizycznej i rezygnacji z najdroższych pragnień całego życia byłyby jednocześnie chwilami podniosłego zwycięstwa moralnego nad sobą samym.

Nie jest tak jednak w powieści Iwaszkiewicza, autorowi bowiem chodziło nie o wzniesienie ducha księcia Henryka na niedosiężne wyżyny idealnego bohaterstwa, ale o pogłębienie tragizmu, wypływają-

*) J. Iwaszkiewicz: „Czerwone tarcze", Warszawa, Geb. i Wolff, 1934 — str. 394.

JERZY CIECHOCKI

RYMY NARCIARSKIE

SPOTKANIE

NARCIARZ, JAK PAJĄK, DŁUGORĘKI DŁUGONOGI UKAZAŁ SIĘ NA WZGÓRZU
SUNIE WDÓŁ NICZEM BŁYSKWICA, MOŻE ŚPIESZY DO SWOJEJ BOHDANKI,
— KOŃ PRZERAŻONY WIERZGNĄŁ, SKOCZYŁ W STRONĘ, W ZAŚPIE ŚNIEGU SIĘ NURZA,
JUŻ SIĘ WYDOSTAŁ, PĘDZI DROGĄ, WLOKĄC ZA SOBĄ PRZEWRÓCONE SANKI.

TRIUMF

ACH! SŁOŃCE, MROŹNE SŁOŃCE
RADOŚCI PRZEBRAŁA SIĘ MIARKA.
LUDZIE! CZY WIECIE...! CZY SŁYSZYCIE...!
DZIS ZROBIŁEM PIERWSZEGO W ŻYCIU TELEMARKA.

SKOK

ODRZUCAM OBA DRĄŻKI, KOLANA UGINAM,
SUNĘ CORAZ TO SZYBCIEJ W BIAŁEJ PĘDU PIANIE,
JAK Z KATAPULTY LECĘ PROSTO W NIEBO SINE,
BY ZAKOŃCZYĆ NA DOLE KURZEM CHRISTIJANJI.

NARCIARKA

NIE UMIE ŻADNEGO ZWROTU,
BYLE POCHYŁOŚĆ: DLA NIEJ GÓRA NIEBOTYCZNA —
KIJKAMI MACHA, NIBY KOWAL MŁOTEM,
A JEDNAK JEST — — — PRZEŚLICZNA!

ŚLADY NA ŚNIEGU

TUTAJ PĘDZIŁ JAK WARJAT,
TUTAJ ZNOWU KROK SKRÓCIŁ,
TU PRÓG WSPANIALE POKONAŁ,
OO! A TU SIĘ WYWRÓCIŁ.

UPADEK

RÓWNO — KRZYWO — RÓWNO JESZCZE MKNĘ NA PŁOZACH,
DO KOŃCA TRZEBA BYĆ MĘŻNYM —
NAGLE!... ZIEMIA FIKNĘŁA KOZŁA,
NOGI POLECIAŁY NA KSIĘŻYC.

---

cego z istotnych właściwości duszy ludzkiej. Książę Henryk ustępuje nietyle przed owemi wyrzutami sumienia, z któremi zdołał uporać się jako tako w komnacie zamkowej podczas całonocnych samotnych rozmyślań, ile raczej z obawy „przed dopełnieniem rzeczy nie do poprawienia" — jak to określa sam autor, motywując rozkaz powrotu, wydany przez księcia na promie. W myślach, w intencji, w rozkazach nawet grzech bratobójstwa był już **popełniony**, chodziło więc tylko o realne jego „**dopełnienie**" — i w tej decydującej chwili zabrakło księciu sandomierskiemu, podobnie jak i Kordjanowi w dramacie Słowackiego, decyzji i nieugiętej woli wykonania. To też wraca książę na zamek nie jako człowiek uspokojony powzięciem ostatecznej decyzji i nie jako bohater, który w głębi serca czuje radość spowodu moralnego zwycięstwa, odniesionego nad sobą samym, ale jako człowiek, który w wewnętrznej walce ze sobą poniósł dotkliwą, ostateczną porażkę. A ostatnia scena utopienia złotej, Bolesławowej korony w wzburzonych nurtach wezbranej Wisły nie jest symbolem dobrowolnego, heroicznego wyrzeczenia się księcia swych monarchistycznych i patrjotycznych tęsknot w imię zasad chrześcijańskiej moralności, ale jest oznaką rezygnacji, wynikającej z biernego poddania się biegowi wypadków w poczuciu własnej słabości i niezdolności do podjęcia czynów „nie do poprawienia".

Errata:

Do ostatniego numeru PAX-u wkradło się kilka przykrych błędów, najprzykrzejszy niniejszem prostujemy:

Na str. 3 w notatkach bibljograficznych w ost. wierszu miast „doktryny społeczno-akademickiej" — winno być „doktryny społeczno-katolickiej".

CZASOPISMA

„Akcja Literacka"—pod tym tytułem ukazało się jeszcze jedno pismo literackie, wydawane miesięcznie w Warszawie pod red. Włodzimierza Korab-Lamparskiego. W pierwszym, styczniowym numerze tego pisma znajdujemy m. in. artykuł Marjana Czuchnowskiego p. t. „Zasadnicza różnica" na temat „świadomego pisarstwa chłopsko-robotniczego", niewiadomo dlaczego w połowie niemal złożony kursywą, — nazbyt ogólne uwagi Stanisława Czernika o „Współczesnej kulturze poetyckiej w Polsce", płytkie i banalne uwagi Władysława Bocheńskiego o dawnej burżuazyjnej — i nowej, „prawdziwej", proletarjackiej literaturze p. t. „Literatura prostego człowieka" i nieciekawe—bo nie nowe—czasem zbyt pochopne i dlatego fałszywe ogólniki Jana M. Domosławskiego na temat „Symbolizmu w literaturze polskiej"; czyż można bowiem zgodzić się ze zdaniem autora, że „dawnym romantykom i realistom wystarczał dotychczasowy zasób słów"—że „Mickiewicz, Słowacki, Wiktor Hugo i inni nie tworzyli słów nowych". Resztę numeru wypełniają recenzje i kronika. Szpetna składka: niedbała korekta zniechęcają czytelnika do pisma. Czcionki rozfiglowały się zecerowi zwłaszcza przy nazwiskach; oto parę przykładów — pierwszych z brzegu: W. Mrozowski, autor feljetonu w „Kurjerze Porannym", występuje raz jako Mrozowski, a nieco dalej jako Mrozowicz (s. 27), podobnie jak i powieściopisarka Dobaczewska, która na str. 30 zjawia się również w podwójnej postaci bądźto jako Dobaczewska, bądź też jako Dobaszewska—a obok tego takie zadziwiające okazy ortografji jak: „Mirjam-Przesnycki" (s. 15), „Klejner" (s. 25), „Nitshe" (s. 15) i t. p. Czy to ma być również nowa, proletarjacka pisownia? *zcz.*

W numerze najbliższym szczegółowiej omówimy dotychczasowe numery **Marchołta**.

WITOLD RUDZIŃSKI

PSYCHOANALIZA FREUDA

W piśmiennictwie katolickiem dotkliwie odczuwa się brak gruntownej i objektywnej pracy o psychoanalizie. Książki Donata i de la Vaissière'a nie wyczerpują kwestji. Najlepszą pozycją jest rozdział o psychoanalizie w książce Foerstera „Religja i kształcenie charakteru". Niestety jest to tylko krótki urywek. Brakowi pragnął zaradzić ks. Łubieński*). Plan, pomyślany przez niego, jest świetny. Autor dzieli zagadnienie na szereg kwestyj, omawia najpierw pogląd Freuda, potem je ocenia. Na końcu przeciwstawia światopogląd katolicki teorjom freudowskim. Książka więc mogłaby spełniać zadanie informatorjum, a jednocześnie być podręczną apologją wiary. Niestety wykonanie tego planu zawiodło. Dokładne omówienie i dyskusja poglądów ks. Łubieńskiego przekracza ramy recenzji. Dlatego też poprzestanę na wskazaniu kilku większych usterek. Dla uniknięcia nieporozumień zgóry zaznaczam, iż w większości wypadków zgadzam się na *wnioski*, które autor podaje, ale trudno jest przystać na *metodę dowodu* tych wniosków.

Bardzo ważną usterką tej pracy jest brak precyzji w definicjach i analizach. (Właśnie ten brak jest tak charakterystyczny dla pism psychoanalitycznych). Autor zakłada przy określaniu jakiegoś pojęcia (jeśli zdobywa się wogóle na to) cały szereg dodatkowych cech, których przy definicji nie wymienia. Przytoczę jeden przykład: płciowość. Na str. 26 mamy definicję: „Płciowość jest objawem popędu rozrodczego, którego zadaniem jest utrzymanie gatunku". Oprócz tego należałoby dodać, że płciowość jest: a) moralnie wartością ujemną. Wynika to np. ze zdania na str. 16: „Miłość do matki nie jest niewinna, lecz ma podłoże płciowe". (Zdanie przytoczone ma być omówieniem objektywnem poglądu Freuda, jest jednak w stosunku do niego nielojalne, bo Freud nie ocenia tego stosunku moralnie, a traktuje go czysto opisowo), b) Objawy płciowości są nienaturalne i nienormalne. Str. 21: „Dotykanie się więc organów rozrodczych przez dziecko jest objawem zupełnie normalnym, w którym niema zamiaru erotycznego. Freud mija się z prawdą psychologiczną, jeśli w tem widzi objaw seksualności". Str. 35. „Ta czuła miłość (do rodziców)... jest czemś zupełnie naturalnem, zrozumiałem i nie ma nic wspólnego z płciowością". i t. d. Takie rozrzucone określenia dają złudzenie dowodu. Gdyby autor te wszystkie dodatki zebrał w definicji, wówczas powiedzielibyśmy: To jest pogląd ks. Łubieńskiego na płciowość i jest naogół sprzeczny z poglądem Freuda. Ale te wszystkie twierdzenia same wymagają dowodu, nie można więc ich używać jako argumentu. Np. jeśli Freud powiada, że dotykanie narządów rozrodczych przez dziecko jest objawem seksualności, to udowodnienie, że to dotykanie jest rzeczą naturalną, nie stanowi jeszcze dowodu na to, że te ruchy nie mają seksualnego charakteru, bo nic nie wiemy o tem, czy seksualność jest naturalna, czy nie. Najpierw trzeba dowieść, że płciowość jest nienaturalna, a wtedy powiedzieć, że podane objawy nic nie mają wspólnego z płciowością, bo są zupełnie naturalne.

Wewnątrz rozdziałów panuje chaos, nie można uchwycić zasady oceny i metody rozbioru. Autor nie zawsze dokładnie zdaje sprawę z rzeczy, którą omawia (przemawia tu za nim to, że wywody psychoanalityków (są często mętne i straszliwie płynne). Wygląda to, jakgdyby autor automatycznie przeczył każdemu poglądowi Freuda (nawet niekiedy bez wyraźnej potrzeby), a potem dorabia argumentację. O ileż spokojniej i z intencją porozumienia się omawia te rzeczy Foerster. Pod jego ręką o wiele więcej rzeczy z psychoanalizy nabiera znaczenia, umie on wniknąć w źródła tego ruchu i zdyskontować dobre jego strony dla katolicyzmu.

Jednak dobrze jest, że ukazała się książka ks. Łubieńskiego. Nie skorzysta z niej laik, ale duszpasterz znajdzie bardzo dużo pożytecznych wiadomości w bardzo pięknych rozdziałach o spowiedzi, lekarz nabierze może chęci do współpracy z kapłanem przy zwalczaniu niedomóg umysłowych. Natomiast przyszłego badacza, który będzie chciał poświęcić temu przedmiotowi uwagę, książka ta wprowadzi w labirynt trudności, niekiedy wprost nieprzezwyciężonych, bo leżących w wielu dowolnościach teoryj psychoanalitycznych. A jakkolwiek nie będzie mógł naśladować metody ks. Łubieńskiego, znajdzie tu jednak niejedną trafną, słuszną i świeżą wskazówkę. I to jest właśnie rzecz, dla której ogromny trud, jaki włożył ks. Łubieński w tę książkę, opłaca się.

*) **X. dr. Jan Bolesław Łubieński.** *Psychoanaliza Freuda w świetle prawdy chrześcijańskiej.* Lwów 1934.

KRONIKA I NOTATKI LITERACKIE

Dyskusja. Dookoła projektu ustawy o samorządowych bibljotekach publicznych rozwinęła się ostatnio ożywiona i interesująca dyskusja. Przeciwnicy jej, b. min. Ignacy Matuszewski, prof. Roman Rybarski, Stan. Mackiewicz, i nieco bardziej ugodowo nastrojony b. min. Maurycy Jaroszyński wychodzą przeważnie ze stanowiska ekonomicznego, sprzeciwiając się zasadniczo jakiemukolwiek materjalnemu obciążeniu ludności z tego powodu i dowodząc, iż w obecnych warunkach ekonomicznych stworzyłoby to jeszcze jedną „fikcję" społecznego życia w Polsce. Obrońcy jej natomiast—że wymienimy tu tylko postacie co znakomitsze—b. premjer Janusz Jędrzejewicz, W. Sieroszewski, J. Kaden - Bandrowski, Boy - Żeleński, Jan Muszkowski, Emil Breiter i in., stojąc na stanowisku konieczności zwalczania analfabetyzmu i ciemnoty na wsi, oraz podniesienia kultury społeczeństwa tak przez wzmożenie czytelnictwa, jak też przez poparcie wydawniczej produkcji polskiej — stanowczo żądają co rychlejszego wprowadzenia ustawy w życie.

Podobnie ożywioną i ciekawą dyskusję wywołała ostatnio kwestja reorganizacji studjów literackich. Sprawę tę wyniósł na forum publiczne prof. St. Kołaczkowski, inicjując dyskusję dwoma artykułami: w pierwszym numerze „Marchołta" oraz później nieco na łamach warszawskiego „Kurjera Porannego". Prof. Kołaczkowski atakuje przedewszystkiem ścisłe uzależnienie uniwersyteckich studjów literackich od językoznawstwa i domaga się zdegradowania go do roli równorzędnej z innemi naukami pomocniczemi takiego rodzaju jak np. historja kultury, estetyka, etnologja i t. p. Prócz tego prof. Kołaczkowski wysuwa szereg innych postulatów tak w sprawie zmiany programu studjów, jak też ogólnej ich reorganizacji (kwestja wykładów, seminarjów i t. p.). Aktualność i waga spraw, poruszonych przez prof. Kołaczkowskiego spowodowały pojawienie się szeregu innych artykułów w tej sprawie. M. innemi zabrali głos J. Kaden-Bandrowski, opowiadający się — jak zwykle — za wprowadzeniem do uniwersytetów nowych katedr literatury współczesnej, W. Kubacki, śpieszący w sukurs wywodom prof. Kołaczkowskiego, L. Pomirowski, którego artykuł trafił do druku chyba przez jakieś dziwne nieporozumienie i in. Czy jednak dyskusja ta doprowadza do pewnych konkretnych wniosków — trudno dziś o tem sądzić.

Aleksander Janta-Połczyński o rozkoszach nagości. Znany podróżnik Janta-Połczyński ogłosił przed paru tygodniami w „Wiadomościach Literackich" impresje na temat swej wizyty w obozie nudystów „Elysia". Opowiada tam z niezwykłem przejęciem o tem, jak wskutek wezwania dyrektora obozu począł się „szybko i gwałtownie rozbierać", jak potem, gdy już cały jego przyodziewek spoczywał na ziemi, jakby „niepotrzebna kupka nieszczęścia", poczuł ulgę, czując że wraz ze swym towarzyszem są „między sobą", o tem, że „dyrektor ma... piegi na piersi, nie licząc włosów ciemniejszych niż na twarzy i lekko kędzierzawych", że „jego żona ma włosy także na nogach", o tem, jak obserwacje nagich towarzyszów i siebie samego ciągle przypominały mu „spostrzeżenia, uczynione kiedyś przed klatką z małpami" i t. p. Kończy wreszcie swe subtelne wspomnienia wyrazem żalu, iż nie skorzystał w pełni ze wszystkich dobrodziejstw pobytu między gołymi ludźmi. Pociesza się tem tylko, że „przy sposobności przecież zawsze. . gotów jest znowu się rozebrać". O tem ostatniem nie wątpimy, gdyż—jak sądzimy—wśród wielu powyżej przytoczonych rewelacyj artykułu do niewątpliwie najtrafniejszych należą owe reminiscencje o małpich zwyczajach.

„Knut Hamnsun protektorem zapomnianej polskiej książki"— pod takim tytułem ogłasza p. St. Sawicki w 1. tegorocznym numerze „Pionu" wiadomość o szczególnym sukcesie zapomnianej książki polskiej. Oto Knut Hamsun, zapytany pono „z okazji swej 70-ej rocznicy urodzin przez pewnego norweskiego dziennikarza, jaka też książka zrobiła na nim największe wrażenie—odpowiedział, że książką tą jest historja pewnego zbiega polskiego z Syberji, którą czytał po raz pierwszy wiele lat temu, kupiwszy ją we francuskiem wydaniu u jakiegoś bukinisty francuskiego. Później wielokrotnie do niej powracał". Według poszukiwań dyrektora zakładu Gyldendala w Oslo są to Rufina Piotrowskiego: „Dzieje polskiego zbiega". Książkę tę wydano ostatnio w Oslo p. t.: „En polsk-flyktnings historie" jakoby w tłumaczeniu pewnego hotelowego kucharza. *zcz.*

KASPROWICZOWSKIE UROCZYSTOŚCI W POZNANIU

Ostatnie dni stycznia stały w Poznaniu najwidoczniej pod znakiem wieczystego genjuszu Jana Kasprowicza. We czwartek, dnia 24-go, w sali pałacu Działyńskich przemawiała wdowa po tym największym poecie wielkopolskim, pani Marja Kasprowiczowa. Była to prawdziwa uroczystość dla wszystkich, którym nieobce są dzieje ducha kasprowiczowskiego, jego rozterki, walki i szczytne zwycięstwa.

Dwa dni później odbyła się premjera „Marchołta“ w Teatrze Polskim. Pierwsza realizacja tego dzieła w teatrze lwowskim, w październiku 1934 roku, przez umiejętną stylizację podkreśliła raczej tragikomiczność widowiska, aniżeli jego wewnętrzny, głęboki i mistyczny sens. Poznański teatr wysunął na plan pierwszy regjonalizm; stało się to w g pomysłu dr. St. Papée'go, który zajął się inscenizacją. Postać bohatera tego misterjum — to według określenia samego autora — poeta we własnej nieomal osobie, transfiguracja artystyczna. Marchołt — to człowiek przedewszystkiem: kocha nad wszystko inne prawdę, nie chcąc przypuścić do siebie zwątpienia, że na ziemi nigdy jej nie znajdzie. U szczytu więc władzy gubi go ta straszliwa objektywność wobec dusz swoich bliźnich, które przeziera nawskroś.

Nazajutrz po premjerze przybyła na zaproszenie Koła Polonistów U. P. pani Marja Kasprowiczowa do jednej z sal Zamku i podzieliła się swemi cennemi uwagami z gronem zaproszonych osób na temat inscenizacji „Marchołta“. Ta, której dzieło to zostało przez autora dedykowane — wyjawiła, że chociaż Lwów wystawił to dzieło wspanialej, — jej jednak podobało się bardziej przedstawienie poznańskie. W „Marchołcie“ bowiem zamknął poeta syntezę życia i śmierci — i ten motyw walki o moc, o miłość, o dobro i prawdę — uwydatnił właśnie Teatr Polski w Poznaniu. Na zakończenie pani „Marusia“ odczytała obecnym fragment z ostatniej części swego pamiętnika.

Kulturalny Poznań godnie uczcił swego poetę, który jak Mickiewicz — choć korzeniami należał do ziemi ojczystej — konarami swemi obejmował cały świat uczuć i myśli ludzkich.

Kulturalna publiczność poznańska doznała jednak zawodu, gdyż sztukę zdjęto z afisza na skutek interwencji rodziny poety. Sprawa poszła do sądu. Instytucje kulturalne Poznania ogłaszają teraz protesty i listy otwarte. Do sprawy tej jeszcze wrócimy.

W. Powel

ANTONI GOŁUBIEW

3)

Mędrcy na arenie

3. Klub Daltonistów:

Do koszar, dokąd udała się orkiestra, czcigodnych mężów nie wpuszczono. Gdy szli zpowrotem przez rozstępujący się przed nimi tłum, podbiegł do nich mały, suchy staruszek. Wskazał na oczekującą limuzynę.

— Może szanowni panowie pozwolą...? Może zrobią nam ten zaszczyt...? Zanim pochód przeszedł przez miasto zebrałem członków Klubu. Wszyscy czekają. Bylibyśmy niezmiernie wzruszeni... Specjalnie przygotowaliśmy przyjęcie. Będzie czarna kawa z białem mlekiem, będą żółte ciastka z różową pianką, będzie czerwone wino w zielonych butelkach, będzie bronzowe mięso z granatowym chrzanem, będzie szary sos...

— Co to znaczy — krzyknął dyrektor — czy częstujecie nas tęczą? Kim jesteście?

— Jesteśmy najstarszym klubem naszego miasta, klubem, o którego początkach i założycielach wie tylko mitologja. Jesteśmy Klubem Daltonistów.

— Klubem Daltonistów?

— Tak jest. Założył nas słynny Dalton, vel Danton, jeden z wodzów Rewolucji Francuskiej. Stąd zadania nasze są o wiele szersze od zadań innych klubów. Zielona krew jest wypisana na naszym sztandarze.

— Hm, zielona krew...?

— Tak jest, wielmożny panie. Ale o tem za chwilę. Może narazie pozwolą panowie, że zawiozę ich do naszego lokalu. To jest tak niedaleko. Limuzyna jest bardzo wygodna. Proszę bardzo...

— Czy ruszymy? — spytał dyrektor pana Kłapoucha. Ten skinął głową.

— Jedziemy, panie...

— Nazywam się Wiórek.

— Więc jedziemy, panie Wiórek.



rys. TADEUSZ GODZISZEWSKI

Limuzyna była rzeczywiście bardzo wygodna. Niebawem też błysnął szyld: klub Daltonistów.

Czekano ich istotnie. Klub był niesłychanie liczny. Na przedzie kroczył starzec z długą, siwą brodą. Woźny w liberji niósł tacę, na której stały kieliszki z szampanem, otoczone wieńcem róż. Róże te włożono na głowę pana Kłapoucha, który wdzięcznie zdjął z głowy czerwony cylinder. Potem wzniesiono kieliszki. Starzec z siwą brodą rozpoczął przemowę:

— Dostojni panowie! Wy, którzy przybyliście do nas z szerokiego, bardzo szerokiego świata, do nas, to znaczy do naszej małej mieściny, wy, którzy jesteście znani w kraju i zagranicą, wy, którzy—o szczęsny losie! — zniżyliście się i weszliście pod naszą skromną strzechę, wy, którzy jesteście przedstawicielami potężnego narodu, być może nawet Niemiec lub Francji...

Tu mówca westchnął, poczem zaczął mówić jednym tchem:

— Polskę i Francję łączyły zawsze węzły szczerej sympatji i przyjaźni. Już najstarszy kronikarz polski, Gall-Anonim, przybył do Polski z Francji, o ile nie przybył z Włoch, Węgier albo Rusi. Potem dała nam Francja dzielnego Henryka Walezego, za którego oddaliśmy jej słodką Marję Leszczyńską. Potem była rewolucja i był Napoleon. Któż z nas z wdzięcznością nie wspomina Napoleona, który przyjechał tu i pojechał. A we Francji czy istnieje dziecko, któreby, pokazując paluszkiem portret księcia Józefa Poniatowskiego, nie mówiło z dumą zaprzyjaźnionego narodu: c'est le duc de la Pologne et le Maréchal de la France Saint Joseph. A potem uratowaliśmy Francję, a Francja Polskę, i połączyliśmy się z Niemcami i jest nam dobrze i kochajmy

się!!! Wznoszę okrzyk na cześć naszych drogich gości: Niech nam żyją!

— Niech żyją! — gruchnął grom głosów. Orkiestra odegrała hymn narodowy i plurimos annos. Kieliszki wychylono duszkiem. Odpowiedź na powitanie wygłosił dyrektor:

— Szanowni Panowie! Jest nam niesłychanie miło, że poznaliśmy panów i pański klub. Jak tu już słusznie podkreślono, łączyły nas zawsze jak najlepsze stosunki. Jestem zachwycony kulturą, jaką tu znajduję. To mię poprostu uderza. Ta prastara kultura i świetna tradycja waszego klubu, ta wasza gościnność wzruszyła nas głęboko. To też z chęcią zostaniemy z wami czas jakiś. Poszukujemy ideału, a ten jest może wśród was. Mężczyźni w Polsce zawsze słynęli z męstwa, jak kobiety z piękności. Wy jesteście mężczyznami, to też wierzę, iż będziemy szli ręka w rękę. Oto wznoszę kieliszek waszego doskonałego wina oraz szczery okrzyk:

— Niech żyje Klub Daltonistów!

Teraz entuzjazm wezbrał po brzegi. Wszyscy krzyczeli „niech żyje" conajmniej przez pięć minut. Orkiestra odegrała hymn narodowy dwa razy, trzy razy plurimos annos i jeszcze raz hymn narodowy. Potem przybyszom wręczono dyplomy członków honorowych klubu. Dopiero wtedy wstąpiono do hollu.

Była to ogromna sala ze szklanym dachem, z galerją, biegnącą dokoła w secesyjnym bezstylu. Rosły tu olbrzymie palmy, egzotyczne rośliny, duszące kwiaty. W środku była sadzawka z fontanną i złotemi rybkami.

Umeblowanie składało się z ogromnych, miękkich, obitych bronzową skórą foteli klubowych, dyskretnych i wygodnych, ze stolików do kart oraz z małych trójnogów, na których stały popielniczki. Z sufitu zwisały koszyczki, trzy nad każdym fotelem, wypełnione pachnącemi kwiatami, słodyczami, wytwornemi papierosami, robionemi palcami młodych, pięknych dziewcząt *) drogiemi cygarami, subtelnemi drobiazgami z kości słoniowej i alabastru, z których w chwili znudzenia można układać wzorki, lub bawić się pieszczotą przerzucania ich z ręki do ręki. Pięknie powyginane pająki pełne były elektrycznych świec o miłem matowem szkle. Gdzieś zgóry dochodziły łagodne tony harf, ciche i melodyjne. Było pięknie, bardzo pięknie w zacisznym Klubie Daltonistów.

Gdy goście się usadowili, prezes klubu, ów siwobrody starzec, zwrócił się do pana Kłapoucha i dyrektora:

— Może panowie życzyliby zapisać się do jednej z naszych sekcyj?

— To panowie mają sekcje? — zapytał dyrektor.

W odpowiedzi prezes podał statut klubu. Dyrektor wziął go i czytał głośno:

Art. I. Celem klubu daltonistów jest podniesienie moralności publicznej, wydatna praca dla Narodu, Państwa i Ludzkości oraz pielęgnowanie własnych Ideałów.

— Oo — szepnął dyrektor—ideałów: To coś dla nas.

Art. II. W tym celu klub dzieli się na pięć sekcyj: sekcję towarzyską, sekcję kulturalno-rozrywkową, sekcję gambitu pionka królewskiego, sekcję filatelistów i sekcję mędrców.

— Wstępujemy do sekcji mędrców — wykrzyknął uradowany dyrektor.

— Jest to kuźnica naszej ideologji.

— O to — to właśnie... Tego nam było potrzeba. — Czy moglibyśmy się bliżej zapoznać z pracami naszej sekcji.

— Rozpocznie ona obrady jutro. Panowie zostaną zaproszeni. A teraz chcemy prosić panów o wpisanie się do naszej księgi pamiątkowej. Są tu najsłynniejsze polskie nazwiska.

— Z przyjemnością. Panie Kłapouch..!

Ale pan Kłapouch zasnął snem sprawiedliwego. W twarzy jego dojrzał dyrektor wyraz, którego dotąd nie zauważał: śmiertelną nudę.

— Pan Kłapouch jest bardzo zmęczony daleką podróżą, którą odbyliśmy — pośpiesznie wyjaśnił dyrektor. — To też musi natychmiast udać się na spoczynek. Lekarze nie pozwalają mu się przemęczać.

— Apartamenty panów są przygotowane — skłonił się prezes — O, proszę tędy, to tutaj obok.

Dyrektor zbudził śpiącego mędrca i poszli za prezesem.

4. Pierwsze posiedzenie sekcji mędrców

Śniadanie podanego nazajutrz panu Kłapouchowi żadne pióro nie opisze, żaden mówca nie opowie. Na cieniutkiej porcelanie delikatnej jak płatki róży, przeświecającej się pod światło złotawym uśmiechem, na ognistych tęczowych kryształach, na starem matowem srebrze podawano potrawy, rozpływające się w ustach. Oo! bowiem — jak o tem wywiedział się dyrektor — stu kuchcików, dziesięciu kucharzy i królujący nad nimi wspaniały wielkopański mistrz sztuki kulinarnej — wszyscy oni pracowali na wyścigi, by stół w klubie Daltonistów był możliwie najwykwintniejszy. Cisi, wytworni, duchy we frakach — lokaje służyli gościom z niezwykłą zręcznością: byli zawsze, gdy byli potrzebni i znikali tak momentalnie, że nie wydawali się natrętni. Tak zwana mniejsza sala jadalna, przeznaczona dla specjalnie wyróżnionych gości, zasypana była kwiatami o tonach łagodnych i dyskretnych, nie przeszkadzających idealnemu spokojowi, koniecznemu przy jedzeniu. By zapach ich był niezbyt mocny, powietrze się wciąż zmieniało, do czego służył umieszczony wgórze olbrzymi wentylator w kształcie kwiatu lotosu. Temperatura powietrza, które przezeń wpływało, była specjalnie uregulowana na 16°C — była to idealna temperatura dla organizmu ludzkiego. Łagodna, bardzo cicha — niczem brzęczenie owadów — muzyka instrumentów smyczkowych napełniała powietrze. Oczywiście do grania zostały wybrane utwory specjalnie spokojne. Wszystko było dokładnie przemyślane, by ułatwić człowiekowi trudny proces wchłonięcia w siebie odpowiedniej ilości cukru, białka i tłuszczu wraz z innemi drobnemi ilościami niezbędnych dlań pożywek. d.c.n.

*) To dodaje uroku paleniu.

Redakcja i Administracja: Wilno, Metropolitalna 3-8. Konto P.K.O. 144.229

Redakcja czynna: wtorki, czwartki i soboty od godziny 7-ej do godziny 9-ej wieczorem.

W zastępstwie redaktora naczelnego przyjmuje we wtorki od godz. 8-ej do 9-ej wieczorem CZESŁAW ZGORZELSKI.

Administracja czynna codziennie od godziny 6 do 8 wieczorem.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na okładce.

Redaktor naczelny: ANTONI GOŁUBIEW. Redaktor odpowiedzialny: WITOLD RUDZIŃSKI.

Wydawca: WACŁAW TARASIEWICZ. Administrator: ALFONS KACZYŃSKI.



PAX — DWUTYGODNIK

WARUNKI PRENUMERATY:

Rocznie	bez przesyłki 3,90 zł.;	z przesyłką 4,80 zł.;	zagranicą 7,40 zł.;	w Ameryce 2,80 dol.
półrocznie	„ „ 2,10 „	„ „ 2,50 „	„ 3,90 „	„ „ 1,50 „
kwartalnie	„ „ 1,20 „	„ „ 1,40 „	„ 2,40 „	„ „ 0,90 „

UWAGA: Prenumeratę najwygodniej jest opłacać przy pomocy t. zw. przekazów rozrachunkowych (błękitnych).

OGŁOSZENIA:

Okładka: cała strona — 250 zł.; 1/2 strony — 140 zł.; 1/4 strony — 75 zł.; 1/8 strony — 40 zł.
Wewnątrz: cała strona — 150 zł.; 1/2 strony — 75 zł.; 1/4 strony — 38 zl.; 1/8 strony — 20 zł.

Redakcja czynna: wtorki, czwartki i soboty od godziny 7-ej do godziny 9-ej wieczorem.
W zastępstwie redaktora naczelnego przyjmuje we wtorki od godziny 8-ej do 9-ej wieczorem CZESŁAW ZGORZELSKI.
Administracja czynna codziennie od godziny 6 do 8 wieczorem.

Redakcja i Administracja: Wilno, Metropolitalna 3-8. Konto P.K.O. 144-229

T-wo Wydawnicze „POGOŃ“, Drukarnia „PAX“, ul. Ignacego 5, tel. 8-93.